

Nie trzeba być sławnym, żeby osiągnąć sukces. Karierę można przecież zrobić w wybranej branży, zawodzie. Czy każdego można zatem nazwać autorem swojej kariery? Na to pytanie staramy się odpowiedzieć w naszym cyklu wywiadów. Dziś zapraszamy do lektury rozmowy z Ryszardem Piekarczykiem, którą przeprowadziliśmy w 2016 roku.



Od 40 lat zajmuje się tworzeniem, jest projektowaniem szaty graficznej, mocne fundamenty, to potem mój był menedżerem swojego starszego

- Czym dla Pana jest kariera?

- Dla mnie karierą jest fakt, że moje projekty na opakowania, grafika, którą tworzę, sprzedają się dobrze i to już jest fajne: patrzą na mnie przychylnie i mówią: „no, ten jest dobry”. Ale jest to taka kariera niewymierna, ja nie mam fanów ani fanek, tylko po prostu mam większy szacunek dlatego, że jestem dobry w swoim fachu... Ale czy można to nazwać karierą?

- Chłopcy zazwyczaj marzą, żeby zostać policjantem albo strażakiem. Z biegiem lat marzenia się zmieniają, a później przychodzi czas na podejmowanie życiowych decyzji i niekoniecznie spełniają się dziecięce plany. Jak to było u Pana?

- To jest bardzo fajne pytanie. Jest z tym związana ciekawa historia w moim życiu, z której często śmiejemy się ze znajomymi. W ósmej klasie musiałem z rysunku zdawać egzamin komisyjny, bo nie pojawiałem się na lekcjach, a także zbyt często sprzeczałem się z nauczycielem w kwestiach oceny moich prac i ostatecznie dostałem „pałę”. [Członkowie komisji – przyp. red.] po obejrzeniu teczek z moimi rysunkami ulitowali się i pozwolili zaliczyć przedmiot.

- To faktycznie był Pan „artystą”, żeby mieć pałę z plastyki?!

- No, a ja właśnie miałem... I ukończyłem tę podstawówkę z informacją w kopercie, że nadaję się wyłącznie do szkoły zawodowej, w zawodach: ślusarz, mechanik, ewentualnie... ładowacz. Ja tymczasem pojechałem do liceum plastycznego i zdałem egzamin, ale po przemyśleniu zrezygnowałem z tej szkoły.

- I co było dalej?

- Poszedłem do szkoły górniczej i zdobyłem dyplom technika górnictwa. Ale wtedy już uprawiałem jakąś grafikę, udzielałem się plastycznie. W pierwszej klasie założyłem zespół muzyczny i zacząłem grać. Kiedy po skończeniu szkoły wróciłem do Bochni, dostałem nakaz emigracji... Bo byłem (z innymi, takimi jak ja) elementem niepożądanym w Bochni. „Wywieźli” nas do zakładów chemicznych w Oświęcimiu, gdzie spędziłem pół roku. Stamtąd trafiłem do wojska i odtąd cały czas „robiłem” w grafice. Przez prawie 10 lat byłem road menedżerem TSA i menedżerem Marka. Kiedy zespół się rozpadł, wyemigrowałem za granicę. Pracowałem dorywczo na budowach, w ogrodach i drukarni reklamowej.

- A nie ciągnęło Pana na scenę?

- Wydawało mi się, że dwóch Piekarczyków na scenie to już za dużo.

- Jak wyglądało życie w cieniu sławnego brata?

- Wystarczało mi, że byłem jego menedżerem. Zwłaszcza, że pracowałem wówczas z jedną z najlepszych kapel rockowych w kraju. Kiedy Marek odszedł z TSA na parę lat, Jan Borysewicz zaproponował mi współpracę, ale odmówiłem. Ja zawsze byłem bardziej menedżerem Marka niż TSA i kiedy Marek odszedł, odszedłem i ja, bo zrozumiałem, że kończy się moja praca, jakieś moje dzieło. Pojechałem do Wiednia. Tam zacząłem pracować w drukarni i po raz pierwszy zobaczyłem komputer. Po powrocie do kraju po prawie dwóch latach, byłem niezły w tej dziedzinie.

- Uważa Pan, że uczenie się przez całe życie, nieustanne podnoszenie swoich kwalifikacji ma sens?

- Kiedy wróciłem z Wiednia, założyłem taką małą pracownię i zacząłem robić rzeczy, których jeszcze w Polsce nikt nie robił. Nawiązałem kontakt z nowopowstającą palarnią kawy. Chociaż umiałem obsługiwać ploter i komputer, zacząłem się codziennie uczyć. Pracowałem po 5 godzin dziennie, a kolejne 5 się uczyłem, po prostu „ryłem” wiedzę! Trwało to latami i do tej pory ciągle się uczę – nic niestety nie przychodzi samo!

Rozwój technologii jest tak duży, wszystko w tej chwili tak pędzi, że jeżeli ktoś zatrzyma się na chwilę, nie jest później w stanie tego nadrobić. Mój kolega, z którym pracowałem w latach 70. na Śląsku, miał potem w Bochni swój zakładzik. Coś tam rysował, malował, wycinał ręcznie, aż nasz znajomy, który miał sklep komputerowy

zapropował, żeby sobie kupić ploter. Przyjechałem po jakimś czasie, żeby zobaczyć, co u niego słychać, jak rozwinął firmę i co zastałem? On na tym ploterze drukował projekt w skali 1:10, a potem linijką przenosił na folię... I dalej wycinał ręcznie! To jest właśnie odpowiedź na Pani pytanie: jeżeli człowiek nie uczy się cały czas, nie idzie do przodu, nie szuka odpowiedzi na kolejne pytania, to nie tylko stoi w miejscu, ale się cofa.

- Czy kiedykolwiek sugerował się Pan podpowiedziami innych osób, które Panu pomagały podejmować decyzje? Czy ktoś w jakiś sposób kreował to, co Pan robił w życiu?

- Spotkałem w życiu wielu wspaniałych ludzi, którzy mnie prowadzili, podpowiadali jak omijać przeszkody, wskazywali kierunek, jak się rozwijać.

Znowu przywołam swoje doświadczenia z Wiednia. Kładłem ścieżkę z płyt betonowych w ogrodzie. W Polsce wówczas polegałoby to na położeniu płyt, a tam musiałem wykopać metrowy dół, aby odpowiednio utwardzić - wysypać kolejne warstwy kamienia, betonu, piasku, na których zostały ułożone płyty. Gdy zapytałem Austriaka, który mi to zlecił, po co tyle inwestuje, przecież to tylko zwykła ścieżka, usłyszałem: po to, aby po tym chodniku mogły chodzić kolejne pokolenia. Jeśli stworzy się mocne fundamenty, to potem można spokojnie korzystać z tego przez kolejne lata. I dotyczy to nie tylko płyt chodnikowych.

- Czy uważa pan, że Małopolsanie powinni korzystać z usług doradców zawodowych?

- Niestety, wielu młodych ludzi kończy szkoły, studia, kursy i wręcz unikają jakiegokolwiek poradnictwa, bo uważają, że są już wystarczająco dobrzy.

Częściej po pomoc w podejmowaniu decyzji sięgają ci, którzy musieli sobie na swoją edukację ciężko zapracować i niekoniecznie wszystko dostawali na tacy. Zawsze dzieciakom mówię, że nie ma wstydu, nic nie kosztuje, aby zapytać kogoś mądrzejszego o poradę, bo my – starsi, popełniliśmy w życiu tyle błędów, że wiemy, w którym momencie trzeba podnieść nogę, żeby się nie potknąć. Przecież lepiej jest uczyć się na cudzych błędach, dzięki temu popełnimy mniej własnych.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: Katarzyna Lis, Wojewódzki Urząd Pracy w Krakowie

Zdjęcie użyczone przez p. Ryszarda Piekarczyka